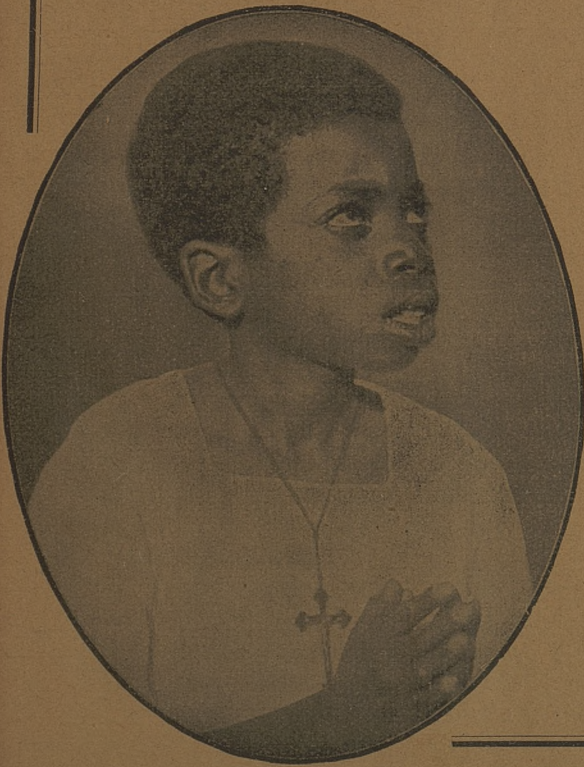
MURZYNEK

Listopad 1937

Rok XXV Nr. 11



Boga

nam dajcie!

MURZYNEK

katolickie, ilustrowane pisemko misyjne dla dzieci i młodzieży, wydaje w różnych językach

SODALICJA Św. PIOTRA KLAWERA

Krosno, woj. lwowskie.

Prenumerata roczna 1.20 zł.

....

....

Prenumeraty i ofiary

przesyłać można pod następującymi adresami: *Sodalicja Klaweriańska, Warszawa I*, ul. Warecka 10, m. 4. — *Kraków*, ul. św. Marka 25. — *Poznań*, ul. św. Józefa 9, m. 5. — *Krosno* (woj. lw.) — — *Lwów*, p. K. Froniówna, ul. Edwarda Jelinka 11a. — *Częstochowa*, al. Najśw. Maryi Panny 79. — *Gniezno*, p. Anna Potulna, ul. Mieczysława 1. — — *Kielce*, p. M. Kasperska, ul. Śniadeckich 1, m. 8. *Bielsko*, ul. Piłsudskiego 7. — *Ostrów* Pozn., p. Roman Spychałowicz, ul. Starokaliska 9. — *Łowicz*, pan Marian Tarczyński, ul. Kościuszki 17. — *Wrocław*, Hirschstrasse 33.

Numer konta P. K. O.: Warszawa 1.188 — Kraków 142.248 — Poznań 200.015 — Wilno 80.954 — Krosno 411.222.

....

Na intencję prenumeratorów i dobroczyńców odprawiają Biskupi misyjni i Misjonarze afrykańscy około 500 mszy św. rocznie.



Czarne bractwo

O. *Henkel*, oblat Niep. Poczęcia, Swakopmund.

Dzieci, te szczególnie przez Pana Jezusa umiłowane istoty, są również ulubieńcami misjonarza. Dzieciom poświęca on cały swój trud i całą miłość. One przecież staną się kiedyś roznosicielami światła i prawdy wśród swego pogańskiego otoczenia. Nawrócenie niejednego zatwardziałego grzesznika dokonało się nie tyle przez Ojca misjonarza, ile dzięki słowu i przykładowi maleńkiego dziecka.

Ktoby nie kochał tych kędzierzawych czarnych urwisów, mających takie błyszczące oczka i taki niezmordowany języczek! Rzadko tylko zdarzyło mi się dostrzec w Afryce smutną twarzyczkę u dziecka. Moje Murzyniątka są zawsze pogodne i wesołe, więcej do śmiechu niż do pła-

czu skłonne. Chociażby słońce nie wiem jak prażyło, czarni malcy, obdarzeni zdrowymi płucami i donośnym głosem, nie dopuszczą, aby we wsi za dnia było kiedykolwiek głucho i cicho. Za to w szkole z rana panuje wśród ich szeregów nieraz zastraszające milczenie. Zwłaszcza zagadnienia rachunkowe umieją wywoływać taką ciszę. Wtedy zafrasowane i znudzone bractwo dłubie przy rysiku i rzuca tęskne spojrzenia za okno, w upragnioną krainę swobody.

Tak, tak, i w Europie i w Afryce uczą się dzieci w szkole oprócz czytania i pisania także rachunków, a wiadomo że :

Ach ! Najwięcej utrudzenia
Sprawia tabliczka mnożenia !

Moje Murzyniątka wolą sto razy śpiew. Czy to będą monotonne pieśni murzyńskie, czy pobożne śpiewy kościelne, które z nimi wyćwiczył Ojciec misjonarz, to im wszystko jedno. Rzadko można znaleźć lud, który by tak lubił śpiewać jak Murzyni. Nigdy im nie brak ku temu ochoty. Nie chodzi im wcale o to, co mają śpiewać. Może to być pieśń postna, wielkanocna albo hymn do Matki Boskiej — nie odgrywa to żadnej roli, byle tylko mogli śpiewać. Kiedy niedawno temu po południu odwiedziłem pewną nowo zaślubioną parę, zastałem u niej wszystkich zebranych krewnych. Każdy, kto tylko z tego weselnego grona umiał czytać, miał w ręku śpiewnik i wszyscy na cały głos prześpiewali całą książkę od początku do końca. Słońce już zachodziło, gdy doszli do ostatniej pieśni „Ciebie Boże chwalimy". I wszyscy mówili potem z wielkim zadowoleniem: „Co to było za śliczne popołudnie !"

Czytanie i pisanie sprawia naszym dzieciom daleko mniej radości niż śpiew. Najgorsza jednak jest lekcja rachunków. Za każdym razem czarne rzędy przenika jakby dreszcz zgrozy.



Odnajdźmy na mapie naszą wioskę!

Najchętniej ulotniliby się oknem, aby pójść łowić ryby w pobliskiej rzece lub szukać w piasku strusich jaj. Nie mogą te kędzierzawe główiny zrozumieć, że nauka rachunków jest też w życiu na coś przydatna. Na ich codzienny użytek starczy im — myślą sobie — to liczydło, które im natura dała w postaci dziesięciu palców. A jeżeli je zaskoczy wypadek, w którym okaże się potrzeba „wyższej matematyki“, to szybko wezmą do pomocy jeszcze palce u nóg.

A większe sumy bodaj zdarzają się w życiu małych czy dorosłych Murzynów! Liczyć umieją Murzyni najwyżej do 20. Jeżeli czasem chodzi o więcej, biorą w rękę garstkę piasku i przesiewając go na ziemię mówią chytrze : „Policz, jeżeli potrafisz ! Tyle było !“

Są przebiegli, ale przy tym szlachetni. Gdy z początku posługiwałem się ich językiem bardzo nieudolnie, dzieci w szkole nieraz wstawały i mówiły: „Ojcze — wyraziłeś się źle. To tak trzeba powiedzieć.“ Poprawiały mnie i powtarzały tak długo, póki nie spamiętałem. A często dużo czasu było na to potrzeba. I choć robiłem błędy w wymowie i z początku niejednego wyrażenia nie mogłem sobie przyswoić, dzieci nigdy mnie nie wyśmiały. W szkole europejskiej po takich nieudolnych próbach nie mógłbym się już w klasie pokazać. Ale czarne dzieci nie widzą w tym nic śmiesznego. Mówią one często: „Tak, nasza mowa jest dla białych trudna, ale i wy możecie się jej nauczyć.“ Czy to nie ładny rys u naszych Murzyniątek ?

Obecnie mam czternaścioro dzieci na przygotowaniu do pierwszej komunii świętej. Ich zapał i skupienie umysłu wyłącznie przy tej jednej sprawie mogłyby zawstydzić niejedno dziecko z Europy. Gdy im mówię, aby w tych świętych tygodniach skupienia i przygotowania pamiętały o drobnych ofiarach i umartwieniach, oczy ich płoną z pobożnej gotowości. Niejeden z takich ofiarnych, cichych czynów znany jest spowiednikowi, ale usta kapłana wiąże pieczęć tajemnicy. Kiedyś dopiero ktoś inny poda go do wiadomości ku uczczeniu zapoznanej duszy czarnego chrześcijanina, ku chwale Bożej i Jego świętego Kościoła.

Sławek — przyjaciel Murzynków

Przypatrzcie się temu ślicznemu chłopczykowi na obrazku. Wszak nikt z Was go nie zna. Dlatego też zamierzam wam dziś o nim opowiedzieć. Jest to Sławomir, młody Jugosłowianin. Jakeście to już niezawodnie sami zauważyli, przedstawiony jest na naszym obrazku w najpiękniejszej chwili swego życia, bo w dniu swej pierwszej komunii św.. Posłuchajcież teraz historii tego małego misjonarza i ulubieńca Maryi, który w swym króciutkim życiu tyle zdziałał dobrego.

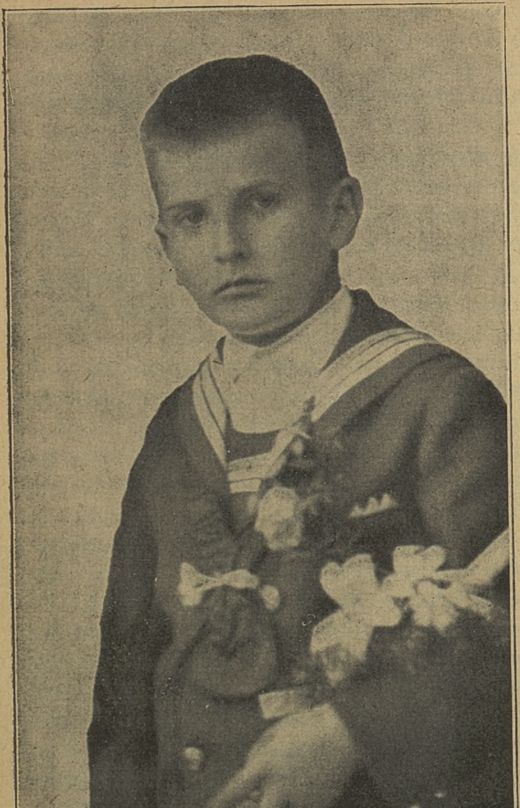
Sławomir Ojstreż — zwany w domu krótko Sławkiem — ujrzał światło dzienne ostatniego grudnia 1920 r. we wsi Bukovżlak w Jugosławii. Był on jedynakiem. Rodziców, którzy go tak dobrze i pobożnie wychowali, kochał serdecznie, wdzięczny za ich miłość i starania. Już jako maleńkie dziecko odznaczał się wielką miłością bliźniego i był bardzo miłosierny. Gdzie tylko ujrzał biednego, zaraz pragnął go wesprzeć i gotów był oddać mu wszystko. Pewnego dnia naschodziło się do domu jego rodziców tylu ubogich, że matka Sławka mimo najlepszych chęci nie mogła wszystkich obdzielić jałmużną. Mały Sławek dostrzegł, że niektórzy nic nie dostali. Łzy stanęły mu w oczach i zaczął matusi przekładać: „Patrz mamusiu, ten biedny nic nie dostał, a i on jest głodny. Ja zajrzę do mojej skarbonki, może tam co znajdę dla niego.“ Z radością wyjął całą zawartość i rozdał nieszczęśliwym, rad, że i on wspomóc ich może.

Niewinne jego serduszko z całą gorącością ukochało niebieską Matuchnę, Maryję. Gdy zaczął chodzić do szkoły i wkrótce potem przystąpił do pierwszej komunii św., zapisał się zaraz do t. zw.. „Ogródka Maryi“ i brał gorliwy udział we wszystkich jego pobożnych praktykach. Wiedział on, że Matkę Bożą najwięcej cieszy częste przyjmowanie Ciała Jej Syna, to też codzień przystepował do Stołu Pańskiego. Dla jego uprzejmości lubili go wszyscy uczniowie i nauczyciele. Jego katecheta mówił, że wchodząc do klasy szukał zawsze najpierw jego uśmiechniętej twarzyczki. Sławek był dobrym uczniem i z wielką rozwagą odpowiadał zawsze na zadawane mu pytania. A gdy ksiądz katecheta przybył do rodzinnej wsi Sławka, chłopczyk pierwszy przychodził go powitać i wciąż mu asystował.

Na imieniny księdza katechety nauczył się zawsze małego wierszyka albo jakiej stosownej przemowy i zawsze pierwszy przychodził winszować ukochanemu nauczycielowi, składając drobny upominek.

Sławek kochał bardzo Murzyniątka. A jaka ta miłość była przemyślna i pomysłowa! Sławek czytywał nie tylko „Murzynka“, ale za pozwoleniem rodziców prenumerował ze swoich oszczędności także „Echo z Afryki“. W pismach tych była nieraz mowa o tym, jak to biedne Murzyniątka cierpią głód, więc Sławek postanowił sobie krótko i energicznie, że musi na ten cel dawać coś ze swojej skarbonki. Opowiadał też kolegom o Murzyniątkach i wzruszająco opisywał ich nędzę. Co by on był zdziałał gdyby był miał po temu środki, skoro już wtedy w otoczeniu swym tak gorliwym był misjonarzem!

Nic też dziwnego, że Pan Jezus i jasna niebios Królowa zapragnęli tego kwiatka dla



Sławek w dniu pierwszej komunii świętej.

Swoich rajskich ogrodów. Sławek doczekał się jeszcze tego szczęścia, że ostatniego maja 1930 r. został bierzmowany,. W dwa tygodnie później

zachorował. Dopust ten zniósł cierpliwie i chętnie. Największą dla niego radością i pociechą w chorobie było, gdy ksiądz Proboszcz przyniósł mu Pana Jezusa. Oczy jego błyszczały wtedy szczęściem, a niewinne serduszko zatapiało się w słodkiej rozmowie z Boskim Gościem.

Choroba ujawniła całą szlachetność tego niezwykłego dziecka. Sławek myślał wciąż o swoich ukochanych Murzynkach i nawet w łóżeczku troszczył się o nich. Pragnął bardzo zobaczyć ich kiedyś i pytał matkę, czy w niebie będzie ich oglądał. Cieszył się, gdy matka zapewniła go, że radość ta go nie minie.

Gdy widział, że życie jego już się ma ku końcowi, chciał jeszcze ostatni raz uczynić coś dla Murzynków, więc ostatnie swe oszczędności — 20 denarów — przeznaczył dla głodnych czarnych dzieci, nad którymi tak się zawsze litował. A ostatnim jego życzeniem było, aby jego ubranie od pierwszej komunii świętej oddano Murzynkom. Szlachetne to życzenie jedynaka wypełniła matka osobiście, przynosząc do Sodalicji św. Piotra Klawera piękne ubranko, świecę, bukiecik mirtowy i kilka jeszcze drobiazgów po swoim ukochanym Sławku. Mały ten misjonarz będzie z pewnością z nieba duchem towarzyszył Murzynkowi, który w jego ubraniu i z jego świecą przystąpi w dalekiej Afryce po raz pierwszy do Stołu Pańskiego. A z jaką wdzięcznością ten czarny chłopczyk pomyśli wtedy o swoim dobroczyńcy, który go tak obdarował!

Jak żył święcie, tak też i święcie umierał. W chorobie często mówił o Matce Bożej. Tuż

przed zgonem twarzyczkę jego opromienił dziwny blask. Radosnymi oczyma patrzał nieporuszony w jeden punkt i zdawało się, jak gdyby z kimś rozmawiał. Naraz wyszeptał: „Ach! jakaś Ty piękna! Matuś, podnieś mnie, abym prędzej dostał się do Niej, do Maryi... Idę już, idę... zaraz będę przy Tobie..."

I przechylił się w tył na posłaniu, podczas gdy niewinna jego duszyczka uleciała do Maryi, do Niebieskiej Matki, którą tak kochał, i do małych Murzynków, których tak pragnął oglądać.

Czy można się dziwić, że dobry ten chłopczyk kochany był przez wszystkich? Świadczył o tym obrzęd pogrzebowy. Gdy dowiedziano się, że Sławek nie żyje, każdy, duży czy mały, niósł mu to wieniec, to pachnącą wiązankę, tak że drobne ciałko spoczywało niby w najkwiecistszym ogrodzie. Chowano go właśnie w dzień Bożego Ciała. Koledzy zasypali także cały jego grób kwiatami i z rozrzewnieniem żegnali się z ukochanym przyjacielem. Zaśpiewali mu na rozstanie dwie pieśni, po czym ksiądz Proboszcz we wzruszających słowach pożegnał swego małego parafianina, stawiając go za przykład wszystkim dzieciom. Odprowadziło go na wieczny spoczynek pięć klas razem z nauczycielami i duży orszak znajomych.

Dobry, mały Sławku, z wysokiego nieba, w którym na wieki radować się będziesz, wejrzyj na naszą ziemię i spraw, niech dużo, dużo dzieci pokocha biednych Murzynków, tak jak ty ich miłowałeś.

Chcę chrztu!

Przez O. *Pozzati*, ze Zgromadzenia Synów Najśw. Serca.



Anioł Badi to mały chrześcijanin, który chrzest św. otrzymał w sam dzień Trzech Króli; ale historia jego chrztu różni się bardzo od historii jego 38 towarzyszy, którzy razem z nim dostąpili tej łaski. Tamci nie mieli tylu trudności w uczęszczaniu do szkoły: rodzice ich pozwalali im na to chętnie. Nie tak jednak było z małym Badi.

Syn zagorzałych pogan, zaciętych wrogów misjonarza, mógł chodzić do miejscowego katechisty (nauczyciela) jedynie ukradkiem i to tylko od czasu do czasu. Poczciwy katechista uczył go oddzielnie samego, gdyż skoroby tylko ojciec malca dowiedział się o tym, czekałyby go bolesne razy, a nauczyciela przykre wymówki. Matka trzymała stronę ojca i nie szczędziła synowi ostrych wyrzutów, gdy się dowiedziała, że znowu był u katechisty. Tak upłynęło sporo czasu.

Co kwartał, kiedy katechista wybierał najlepszych uczniów i prowadził ich do misji. w celu bliższego przysposobienia ich do chrztu świętego, Badi zaklinał go, by i jego wziął z sobą; zalewał się biedak łzami, ale napróżno: opór ojca niweczył wszystkie jego plany, nie dozwalając katechiście wziąć go do misji.

* * *

Pewnego dnia wpada do mnie do pokoju katechista z wioski Badiego, salutuje po wojskowemu i staje wyprostowany przede mną. Za

nim biegnie co tchu jakiś chłopak. Katechista chwyta go za ramię i przedstawia mi go:

„Ojcze, to jest Badi. Jego ojciec nie chce, ale on chce; przyprowadziłem ci go; rób z nim co



„Ochrzcij mnie, proszę!"

chcesz. Daj mi kawałek mydła, bo koszula moja jest brudna."

Takie to było zameldowanie chłopca, takie powody za i przeciw, takie zakończenie i... następstwa.

Chłopaka widziałem już kilkakrotnie, gdym docierał na rowerze aż do jego wioski, odległej o jakie dziewięćdziesiąt kilometrów od misji. Znałem też nieco jego historię, pozwoliłem mu więc zostać w misji. Sprawa szła dość gładko i chłopak pozostał. Przeszło kilka miesięcy i Badi ukończył swą naukę przygotowawczą wraz z innymi.

Dwa tygodnie już tylko dzieliły katechumenów od chrztu świętego. Pewnego dnia donoszą mi, że jeden z chłopców jest chory. Idę, by go odwiedzić : to on, Badi. Następnego dnia wywiązuje się silne zapalenie płuc. Naturalnie znalazł się ktoś, kto doniósł o tym natychmiast rodzicom. Najpierw zjawił się ojciec chłopca. Rozdrażniony do najwyższego stopnia, przekonany był, że choroba chłopca to zemsta duchów przodków za jego odstępstwo od pogańskiej wiary. Chciał też wszelkimi sposobami zabrać syna z sobą do domu, poczuwając się do obowiązku nie dopuszczenia go do chrztu św., by nie drażnić jeszcze bardziej duchów swych przodków. Syn jednak stawił silny opór i ojciec musiał wracać z niczym.

Po paru dniach przybyła do misji matka. Nie podobna opisać, jakimi pieszczotami i groźbami starała się nakłonić syna do powrotu.

Najpierw użyła wszystkiego, co jej podszeptywało serce matki; wszystko to jednak nie wywarło skutku, gdyż chłopiec rozumiał dobrze, że wracać do domu znaczyło to samo, co wyrzec się chrztu świętego.

Po pieszczotach matczynych nastąpiły najstraszniejsze groźby, przekleństwa. Wymachiwała przytym rękami, jak jaka opętana. Wre-

szcie splunęła na ziemię, zebrała palcami nieco utworzonego w ten sposób błota, podniosła do ust, przeżuła w oczach syna, wreszcie pokazała mu w najwyższym gniewie plecy i odeszła. Ten akt przeżuwania błota, utworzonego z własnej śliny, miał oznaczać największe przekleństwo.

Mały Badi, widząc swą matkę, tak serdecznie przez niego kochaną, teraz w tak wielkiej złości, płakał gorzko, nie chciał jednak za nic w świecie wracać do domu.

W uroczystość Trzech Króli, jeszcze bardzo osłabiony po chorobie, otrzymał wraz z innymi swymi towarzyszami tak bardzo upragniony chrzest święty. Szczęście jego nie miało granic.

Raz doniesiono mu, że ojciec jego zaprzysiągł, że go nie przyjmie już w dom swój. Chłopiec odrzekł na to, że się czuje teraz dzieckiem Boga i że Ojciec Misjonarz zastępuje mu na ziemi miejsce ojca.

Kot i ptak

Kot schwytał ptaka i zabierał się do zjedzenia go, gdy ptak rzekł: „Nikt przyzwoity nie je śniadania, nie umywszy wpierw twarzy."

Kot słysząc to puścił ptaka i zaczął myć sobie pyszczek łapkami.

Naraz ptak frunął. Kot rozgniewał się i powiedział: „Odtąd póki żyć będę, zawsze wpierw zjem, a potem dopiero będę się mył!" — Od tego to czasu, koty myją się zawsze **p o** jedzeniu.

ODPUST ZUPEŁNY,

którego pod zwykłymi warunkami dostąpić mogą członkowie i zelatorzy Sodalicji św. Piotra Klawera, a więc i członkowie „Ligi dzieci dla Afryki": 30 listopada w dzień św. Andrzeja apostoła.

Zegar z kukułką

O. *de Hovre*, oblat Niep. Pocz. N. M. P., misjonarz w Transwalu.

Piąta godzina rano... Ciemno zupełnie, boć to zima. — Szeroki trakt, wiodący z Hammanskraal do Pretorii, nierozjaśniony o tej porze blaskiem księżyca, zalega cisza i ciemność.

Naraz droga jakby nabrała życia. Słychać turkot kół i skrzypienie wozu, nawoływanie woźnicy, poganiającego swoje woły i klaskanie z bicza. Prawda — to sobota... w sobotę farmer Bezindonhout ma zwyczaj wozić swoje owoce i jarzyny na targ do Pretorii.

Woły prowadzi Dolfik, młody, może piętnastoletni Kafr. Miał 5 lat, gdy stracił ojca, w trzy lata później umarła mu również matka z nędzy i głodu.

Chłopiec też wycierpiał niemało. Nieraz posyłała go matka do przyjaciół i znajomych, aby uzyskać jakąś pomoc. Ale ludzie byli nieczuli na prośby dziecka i biedny Dolfik wracał z pustymi rękami, kładł się głodny i zmuszony był patrzeć, jak matka niknie z dnia na dzień. Chłopiec pamięta dobrze te ciężkie chwile. — Pewnego południa wreszcie, biedna kobieta, zamierająca prawie na swym nędznym posłaniu, przywołała syna do siebie i ledwie dosłyszalnym głosem błagała go, by się postarał choć o odrobinę żywności. Niestety, farmer Piennar wypędził małego żebraka i Dolfik wrócił z niczym, gorzko płacząc. Matka tymczasem zasnęła tak mocno, że nie mógł jej się dobudzić,

by jej opowiedzieć o swym zmartwieniu. Zaczął płakać i lamentować przy jej posłaniu, a gdy nadeszła noc usnął również. Obudziwszy się, uczuł, że matka jest zimna i sztywna. Nie miał odwagi dotknąć jej. Gdy nastał dzień, wybiegł z domu i płacząc pożalił się napotkanym ludziom, że matka pewnie umarła. Istotnie — Dolfik był teraz podwójnym sierotą. Zabrano ciało i zaniesiono w białej trumnie na cmentarz. Dolfik szedł za trumną z kilkoma Murzynkami. Po pogrzebie przygarnął sierotę Dirk, mieszkający w Pretorii. Posyłał chłopca do szkoły misyjnej, gdzie Dolfik nauczył się czytać i pisać. Ojcowie i Siostry byli zadowoleni z jego postępów i pobożności. Z okazji chrztu Ojciec misjonarz podarował mu śliczny krucyfiks.

Gdy podrósł i był już zdatny do pracy, oddał go Dirk do farmera Bezindonhout'a w Hammanskraalu, aby mu pasł krowy. Farmer traktował sierotę dobrze i po kilku latach powierzył mu swój wóz i woły. Dolfik jeździł co sobotę na targ do Pretorii. Odtąd płacił mu jego pan 5 szylingów miesięcznie, podarował mu również parę starych spodni i stary surdut.

Chłopiec, wyładowawszy swoje zapasy na targu, wyprzęgał woły i był potem wolny. Mógł powałęsać się trochę po mieście, pooglądać okna wystawowe i nasłuchać się gramofonów. Potem szedł zwykle do misji, wstępował do kościoła i odwiedzał Ojców i Siostry. Około południa urządzał się tak, by trafić na obiad do Dirka. O trzeciej musiał stawić się na plac targowy, aby zaprząc i wrócić z farmerem Bezindonhout'em do Hammanskraalu.

Pewnej soboty, krążąc jak zwykle po mieście,

utknął nasz Dolfik przed sklepem zegarmistrza i stanął jak urzeczony. W oknie wisiał wspaniały zegar. Co godzinę odmykały się maleńkie drzwiczki, z których wysuwał się śliczny ptaszek i kiwnąwszy łebkiem wołał: kuku! To było zachwycające! Jakżeby Dolfik chciał mieć taki zegar nadzwyczajny w swojej biednej izdebce, w której nie było zgoła nic prócz paru worków, stanowiących jego posłanie i krucyfiksu, królującego nad tym ubóstwem. Cóżby to była za uciecha słyszeć wśród ciszy nocnej to śliczne kukanie !

(Dokończenie nastąpi.)

Łamigłówka (Ułożył Tadeusz Szpila.)

Początkowe litery poniższych wyrazów, czytane z góry na dół, dadzą imię i nazwisko wielkiego króla :

1) . . . . inaczej pieczara
2) . . . . imię męskie
3) . . . . państwo w Europie
4) . . . . planeta
5) . . . . . miasto obok Krakowa
6) . . . . . inaczej walka
7) . . . . . ogień w języku łac.
8) . . . imię żeńskie
9) . . . . ptak
10) . . . . inaczej ląd stały
11) . . . . przyrząd do szycia.

ROZWIĄZANIE z Nr. 10:

M
S a n
L i t w a
M a t e u s z
A l u m n
O s a
z

Mateusz.

Redaktor odpowiedzialny Maria Kopińska, Kraków.
Nakładem i drukiem Sodalicji św. Piotra Klawera w Krośnie,



Pamiętajmy o zmarłych

Nadszedł listopad... W miesiącu tym, kiedy nawet przyroda zwykła otulać się jakoby w welon żałobny, Kościół święty wzywa nas do wzmożonej modlitwy za naszych ukochanych zmarłych, aby błagania nasze, umartwienia i jałmużny otwarły im jak najrychlej podwoje nieba, gdzie połączą się ze Świętymi, których uroczystość czcimy w pierwszy dzień listopada.

Młodzi Czytelnicy i Przyjaciele, może i wy widzieliście już drogie sercu waszemu istoty żegnające ten padół płaczu? Czy przeszły one natychmiast do krainy wiekuistej szczęśliwości? Nie wiemy na pewno, ale pragniemy tego z całej duszy. Niepewność możemy usunąć, a pragnieniu dopomóc do ziszczenia się, modląc się za tych, którzy nas wyprzedzili, którym winni jesteśmy wdzięczność za miłość, jaką okazywali nam na każdym kroku.

Najskuteczniejszą pomocą dla dusz zmarłych jest ofiara mszy świętej, w której sam Pan Jezus ofiaruje Swe zasługi, Swą śmierć na krzyżu na intencję, w jakiej msza św. się odprawia.

W Sodalicji św. Piotra Klawera istnieje

„Związek Mszalny dla Afryki”,

polegający na 300 Mszach św. rocznie odprawianych za jego członków żywych i zmarłych. Do związku tego można bowiem zapisywać także i zmarłych. — Jaka to pomoc, pociecha i ochłoda dla naszych drogich zmarłych, dla biednych dusz w czyśćcu cierpiących! Zapiszmy je dziś jeszcze! Jednorazowa wkładka za każdą osobę wynosi tylko 1 zł. Wszystkie ofiary na ten cel wpływające, przeznacza się na rzecz misji afrykańskich, więc zapisując naszych drogich, spełnimy podwójnie dobry uczynek.

„Z rzeczy Boskich najbardziej Boską jest praca dla zbawienia dusz!“

(Słowa św. Dionizego Areopagity.)

Każdy człowiek ma swoje interesa na tej ziemi, ma swoje dążności i pragnienia, swoje cele i ideały, dla których żyje i pracuje. Niektórzy ludzie jednak wyrzekają się interesów własnych i żyją tylko dla sprawy Bożej, poświęcają siebie, aby pomnożyć chwałę Bożą i rozszerzyć Królestwo Boże na ziemi. O takiej pracy powiada św. Dionizy, że jest ona najbardziej Boską z rzeczy Boskich.

Misjonarki-pomocnice, czyli Sodaliski św. Piotra Klawera, poświęcają tej pracy całe swoje życie, ba każde nawet tchnienie. Przeczytaj sobie książeczkę

„Powołanie misjonarki-pomocnicy dla Afryki”

a potem zrób to, co Ci serce miłujące Boga i bliźniego wskaże jako wolę Bożą. Czy może i Ciebie Pan Bóg nie woła do takiego ofiarnego życia?

Cena 50 gr. Adresy na 2 stronie okładki.